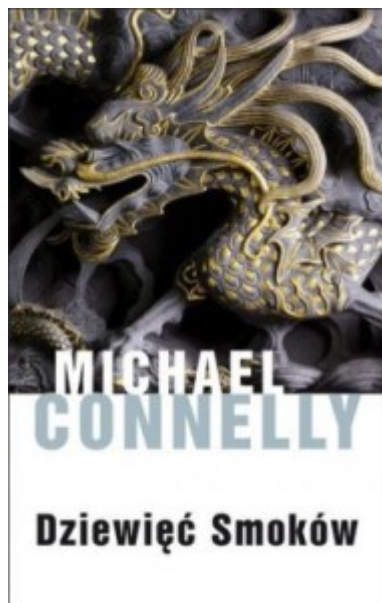


**MICHAEL  
CONNELLY**

**Dziewięć Smoków**

# Papierowy człowiek

Fahrenheit Crew



Autor: Michael Connelly

Tłumacz: Robert Waliś

Tytuł: „Dziewięć smoków”

Wydawca: Albatros 2013

Stron: 430

Cena: 33,49 zł

Detektyw Harry Bosch z Wydziału Specjalnego do Spraw Zabójstw nie ma lekkiego życia. Jego partner, ojciec trójki rozwrzeszczanych dzieci, w tym bliźnięt (co za dopust losu, swoją drogą) ustawicznie miga się od pracy w terenie. Wydział jest w trakcie przeprowadzki (kolejny dopust). Tymczasem przestępcy z Los Angeles rażno wyrabiają swoją dzienną normę:

*"Rany były od siebie oddalone o jakieś dziesięć centymetrów i stanowiły wierzchołki równobocznego trójkąta. Bosch wiedział, że ślady po szybkich strzałach z niewielkiej odległości zazwyczaj są ciasniej zgrupowane. Przypuszczał więc, że ofiara została postrzelona raz (...) wtedy zabójca przechylił się nad ladą i strzelił jeszcze dwukrotnie, stąd taki rozrzut ran."*

Powyższy fragment pojawia się na samym początku *Dziewięciu Smoków* Michaela Connelly'ego. Niewątpliwie istnieją wyrwane z kontekstu zdania, które wystawiają autorowi dzieła mylne świadectwo. Wspomniany wyimek trafnie demonstruje, z jakiego rodzaju twórczością mamy do czynienia. *Dziewięć Smoków* to mniej opowieść, a bardziej komunikat.

By odpowiednio dać rzeczy proporcje: Michael Connelly jest osiwiiałym w bojach i bardzo popularnym za wielką wodą autorem, *Dziewięć Smoków* zaś jego piętnastym z serii komunikatem. Zapewne przyjętym z entuzjazmem przez wielbicieli sprawozdawczej w tonie, okrojonej z wszelkich ozdobników policyjnej prozy.

Ja zaś zwyczajnie nie cierpię stylu tzw. przezroczystego. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo ta idiosynkrazja zaburza mi jasność osądu – ale nic na to nie poradzę. Wierzę, iż książki powinny wyglądać, jakby pisali je ludzie z niepowtarzalnymi upodobaniami, fobiami i śmiesznościami, nie zaś Miejski Urząd Geodezji.

Uczciwie stwierdziwszy powyższe, przyjrzyjmy się dziełu.

*Dziewięć smoków* rozwija się jak powieść sensacyjna, ale w swej istocie to kryminał. Mamy niewyjaśnione zabójstwo; ofiarą strzelca ze skłonnością do równobocznych trójkątów padł John Li, leciwy właściciel sklepu spożywczego w nieciekawej dzielnicy. Jego pogrążonej w żalu rodzinie niemalże udaje się ukryć przed naszym detektywem fakt, iż zabity regularnie płacił haracz triadzie.

Harry Bosch wgrzyza się w śledztwo niczym bulterier w dorodny poć szynki. Fakt, iż mieszka sam i wydaje się człowiekiem kompletnie wysterylizowanym z życia prywatnego, wydatnie mu to ułatwia.

Co prócz tego wiemy o Harrym Boschu? Ano niewiele. Zdaję sobie sprawę, że po staroświecku detaliczne opisy postaci nie leżą w tradycji powieści detektywistycznej. Niemniej przydałby się jakiś gwóźdź, na którym można by zaczepić wyobraźnię. Wzrost albo kolor włosów. Zabawna fobia. Cokolwiek. Harry nie ma rysów, zaś jego wiek zrekonstruowałam sobie dzięki wplecionych w narrację reminiscencjach z wojny wietnamskiej. Akcja książki dzieje się w roku 2007; jeżeli Harry załapał się na Wietnam, to musi być przynajmniej po sześćdziesiątce. Dzięki powściągliwości autora wyobraziłam sobie naszego detektywa jako nieco oszlifowaną wersję Sly Stalone'a z *Niezniszczalnych*: cokolwiek łykowany, lecz nieodmiennie dziarski patriarcha o absurdalnej muskulaturze i twarzy zapieczonej niczym krakowski bajgel (minus straszliwa koafiura i bandanka). Nie ma za co, Michaelu Connelly.

Oto nieliczne pewne fakty. Harry jest rozwiedziony. Ma córkę, trzynastoletnią dziewczynkę, która mieszka z matką w Hongkongu. I właśnie wtedy, gdy śledztwo w sprawie Johna Li zaczyna czynić postępy, Bosch otrzymuje telefon z pogróżkami. A potem nagranie, na którym mała Madeline została zakneblowana i przykrępowana do krzesła.

Piekło nie ma w sobie takiej furii, jak wkurzony Harry Bosch. Przynajmniej tak to wygląda na poziomie deklaracyjnym.

Sposób, w jaki Connelly relacjonuje krucznię rozwścieczonego ojca, ruszającego niewinnej dziewczeczce na ratunek, nasunął mi refleksję natury ogólnej.

Kursy kreatywnego pisania – w naszym kraju chyba się takich nie organizuje (jeszcze) i uważam, że to dobrze. Po pierwsze, rozpowszechniona w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wiara, jakoby każdego dało się nauczyć czegośkolwiek, daje efekty straszliwe. Z całą pewnością istnieją wytarte od ciągłego wertowania podręczniki, jakieś pomoce naukowe pełne spisanych w punktach "sposobów na dynamiczny zwrot akcji". Po drugie, całe legiony (Ameryka to jest spory kraj) adeptów te instrukcje czytują, a potem z ufnością neofity stosują praktycznie w swoich książkach.

Connelly neofitą przestał być w czasach dinozaurów, wszystkie jego zagrania mają w sobie rutynę wytrawnego karciarza. Niemniej jestem gotowa dać swoje kaptcie w zastaw, iż dawno, dawno temu ukończył wspomniany kurs. Tę maszynę zbudował i puścił w ruch solidny fachowiec, który wiedział, co czyni. Niemniej, owa jest przyciężka – i skrzypi.

Że fabuła toczy się przewidywalnym torem, przyprawiona tam, gdzie trzeba, strzelaninami, pogoniami, jak również akceptowalną w kryminale porcją scen w zamierzeniu wzruszająco smutnych – nie dziwi mnie ani nie bodzie specjalnie. *Dziewięć smoków* to ewidentnie literatura rozrywkowa, przeznaczona do pociągu lub na plażę. Lecz nieodmiennie drętwy, niezaangażowany styl mocno

rozwadnia frajdę, jaką można by mieć z podobnej lektury.

Oschła proza Connelly'ego nie pozostawia miejsca dla wyobraźni, ponieważ w ogóle jej nie łąchce. Bohatera poznajemy wyłącznie przez działanie, co nie byłoby takie złe - gdyby autor potrafił być konsekwentny. Skąpi kluczowych szczegółów, by w następnym akapicie uraczyć czytelnika masą bezosobowo podanych i po prawdzie niepotrzebnych informacji. Widać, że pisarz odrobił godziny męczącego researchu i bardzo chce się podzielić swą szczegółową wiedzą na temat pasjonujących procedur policyjnych. Albo broni:

*"Bosch opuścił pistolet między kolana i wyjął magazynek. Tkwiło w nim piętnaście dziewięciomilimetrowych pocisków ułożonych w dwóch rzędach. (...) Popatrzył wzdłuż lufy i ustawił szczerbinę. Zajrzał do komory, szukając śladów rdzy, po czym sprawdził iglicę i wyciąg. Kilkakrotnie przetestował mechanizm spustowy. Wydawało się, że broń działa poprawnie."*

Ten do bólu rzeczowy ton sprawdza się, gdy trzeba poprzynudzać... przepraszam, pogawędzić dłuższą chwilę o elementach składających się na pistolet marki Black Star (produkowany dla chińskiej armii; wygląda na to, że zapamiętam ów fakt, czy chcę tego, czy nie), lecz w scenach z założenia poruszających zawodzi na całej linii. Nasz bohater jest zdeterminowany. W pogoni za porywaczami córki czyni rzeczy wątpliwe moralnie lub też zwyczajnie brzydkie, zdarzają mu się katastrofalne w skutkach potknięcia. Niestety, próba wyposażenia go w przekonujące życie wewnętrzne spaliła na panewce. Refleksje detektywa Boscha są tak banalne i od sztancy, że trudno uwierzyć, by mógł je mieć jakikolwiek żywy człowiek.

Czy *Dziewięć Smoków* ma jakiegokolwiek zalety? Ależ oczywiście. Primo, akcja powieści ma sens, toczy się sprawnie, miejscami nawet zaskakuje. Secundo, autor zaprawdę posiadał dogłębną znajomość życia policji - nie tylko zawikłanych procedur, lecz także mało malowniczego zaplecza jej pracy i codziennych, przyziemnych bolączek. Miłośnicy pedantycznej precyzji w opisach lub/oraz militariów także będą mieli z lektury pociechę.

Można by tę powieść przenieść na ekran. Zdolny aktor potrafiłby wlać w efemerytem podszytą postać detektywa Boscha życie i barwy. Być może byłby to dobry film. Niestety, książka jest co najwyżej przeciętna.

*Nina Wum*